

Maria i Jan Kuczyński

ul. Nowa 10.

BIAKYSTON

/Maria/

ARCHIWUM WSTĘPNE

Mój ojciec był kolejarzem, a brat pracował w sądzie jako adwokat. Tenże brat był zabrany, jeszcze przed wojną, na ćwiczenia wojskowe. Był w Osowcu. Stamtąd już on do domu nie wrócił. Zresztą w czasie działań wojennych Osowice był cały okrążony tak, że nie było jak dowieść żywności. Nieprzyjaciół okrążył dookoła wszystkie bunkry. Kiedy Sowieci ich wzięli, to natychmiast wywieźli do Mińska. Stamtąd dostaliśmy list od niego. Prosił, żeby mu przysłać czy to cebuli, czy to czosnku, czy cokolwiek.

U nas, w domu rodziców, mieszkali lotnik sowiecki. On jeździł często do Mińska w delegację. W drodze wyjątku zgodził się dostarczyć mu to, o co prosił. Zrobiliśmy mu odpowiednią paczkę i przesłaliśmy mu trochę smalcu, trochę cebuli i trochę czosnku. Ale nie wiem, czy ta paczka doszła do niego, a to dlatego, że my już od niego odpowiedzi nie dostaliśmy. A to było mu bardzo potrzebne, bo sam pisał, że mu zęby wypadają, bo ma szkorbut /cynga/.

Od tej pory wszelki ślad po nim urwał się. Wkrótce też podobny los dotknął nas wszystkich. Wywieziono nas na Syberię całą rodziną. Jeszcze brata młodszego też. Miał wtedy szesnaście lat. Aresztowano nas nocą i zawieziono na Dworzec Poleski. Transport stał do rana. Dopiero rano nas gdzieś dalej popchnęli. Oczywiście ulokowano nas w bydłowych wagonach.

Kiedy przyszli po nas nocą, to zachowywali się brutalnie. Byli uzbrojeni. Na karabinach mieli bagnety /sztiki/. Nam, wyrwanym ze snu kazali wszystko rzucić. Następnie rozkazali ubierać się do wyjazdu. Twierdzili przy tym cynicznie, że to "nie na długo budiet". A jeden z nich, taki młody, Sowiec, podszedł do mnie i po-

wiedział: siostra, znajesz, czto bieri wsio". Oczywiście mówił to po cichu. Bo tam gołód i chłód. Tam ni czerta nie budietie mieli: i dienieg nie budiet i żyć nie budiet. Bieritie wsio, czto wam popadajet. A inni jego koledzy nie dawali. Nie dawali brać za dużo tylko to, co było pod ręką. Człowiek wziął szybko coś z ubrania i coś z butów. A wszystko zostało.

Wtenczas nas wszystkich załadowano na samochód i pojechaliśmy. Na dworcu nas wsadzili w wagony cielące. A w wagonie był niesamowity brud i smród. Wewnątrz były tylko takie straszne nary. Wrażenie było okropne.

Pod tym wrażeniem ludzie zaczęli płakać i modlić się. Reakcje były różne; jedni płakali, drudzy modlili się a jeszcze inni z tego powodu śpiewali. Wydawało się, że nie ma dla nas żadnego ratunku. Dopiero rano oni nas odwieźli dalej.

Podróż nasza trwała a właściwie ciągnęła się do miesiąca czasu. W drodze było wszystko. Dawali kipyatku. Dzieci płakały z głodu. A i my sami byliśmy głodni bo przecież żywności nie było tam. Tylko od czasu do czasu przynosili nam zupę, którą oni tam nazywali "szozy". Była to taka zupa, że na cały duży garnek pływał jeden zielony pomidor. No i ten kipyatok, który nam dawali.

Kiedy przyjechaliśmy wreszcie do Pawłodaru, to na nas czekało dużo samochodów. Było ich tak wiele, że aż okiem sięgnąć. I tymi samochodami rozwozili wszystkich. Rozwozili tak rodzinami, jak staliśmy.

Ale oni nie wieźli wszystkich w jednym kierunku, bo tam nie było takiego miejsca, gdzie by można było nas wszystkich ulokować. To nas i jeszcze jednych znajomych, też z Białegostoku przewieziono do tego Urlitiupu. Był to kołchoz koło Pawłodaru. Tu nas zwałono na strasznie brudne miejsce. Nic dziwnego, bo było to miejsce, do którego ludzie chodzili załatwiać się. I tam nys-

my stali. A nad nami stali żołnierze, nadal ze swoimi "szttykami".
Wilnowali nas, żeby ktoś z nas nie uciekł.

Było nas tam dużo rodzin. Oprócz nas była Utyłowska, Sokołowscy, Skowrońska, Wysocka. Byli to nasi znajomi. Była jeszcze Linczewska, która do kraju już nie wróciła, bo tam umarła. Były też jeszcze jakieś dwie rodziny.

Nadchodziła noc, a my nadal nie mieliśmy gdzie mieszkać. Wreszcie przyszli i kazali nam się rozejść. Możemy zamieszkać tam, gdzie coś sobie znajdziemy, gdzie kto nas przyjmie na mieszkanie. I rzeczywiście. Mieszkała tam samotna staruszka, bardzo schorowana, o nazwisku Jerkałowa/później zmarła, zawsze za nią modłę się do dziś/, to ona właśnie wzięła nas do siebie.

W jej mieszkanku było bardzo czystutko. Wprawdzie jej chatupka była zrobiona z krowiego brudu, ale ta izbuszka była tak czysto wymalowana. Ona właśnie nam dała schronienie.

Płaciliśmy jej za mieszkanie siedemdziesiąt rubli. Ponieważ ona miała własną krowkę, to od czasu do czasu dawała nam troszkę mleczka. Także była to bardzo dobra kobieta.

Nie mieliśmy pracy, bo tam był tylko ten jeden kołchoz. Ludzie przeważnie pracowali przy ziarnie. Tam pracowali swoi, bo też nie było gdzie ich zatrudnić.

Tak egzystowaliśmy przez kilka miesięcy - od wiosny do jesieni 1941-go roku. Potem przewieziono nas na tzw. Drugie Otdielenie - nowy sowchoz. Tu też byliśmy przez parę miesięcy. Tam też dostaliśmy maleńką izbuszkę. Gdy pewnego razu byk zaczął cesać się /ocierać się o naszą chatynkę/, to nam odwalik cały róg. Tam mieszkaliśmy: ojciec, mama, brat, ja i siostra/obecnie ta moja siostra leży w szpitalu, już na wykończeniu/.

Tu poszłam do pracy w kuchni i stołówce jako kucharka. Miałam częste kontrole gdyż zarzucano mi, że ja swoim Polakom wrzu-

cam kotlety do zupy. Bo ta stołówka działała "za licznyje pieniądze": kto danego dnia zapłacił, ten jadł. Pracisz i jesz, nie płacisz - nie jesz. Tam właśnie miałam kilka kontroli. Ale te kontrole nie stwierdziły, nie złapali. I oni poszli. A za dwa dni znów przyjechali z Pawłodaru na Kontrolę. Ale tym razem była to dla mnie kontrola bardzo przyjemna. Kontrolerzy urządzili przyjęcie, na które ja szykowałam mięso. A ja nie wiedziałam, z jakiej okazji jest to przyjęcie /podczas przygotowań/. Sami kontrolerzy na to przyjęcie przywieźli ruskiego szampana. Była obecna cała elita z Pawłodaru. Ku mojemu zaskoczeniu poprosili i mnie do stołu. Tu dostałam nagrodę. Tą nagrodą było dwadzieścia pięć kilogramów zboża. To nie było czyste zboże lecz taki poślad. Był to chyba nawet trzeci gatunek odpadów. Ale tam był taki politruk, bardzo dobry człowiek. On tak sprawą pokierował, że dał mi dobrego zboża i nie dwadzieścia pięć kilogramów lecz czterdzieści kilogramów. Był to bardzo dobry starszy człowiek.

Jesienią 1941-go roku wyjechaliśmy do Pawłodaru. Było to po zawarciu umowy między polskim rządem na emigracji w Londynie a rządem Związku Radzieckiego. Wtedy to wyszło miejscowe zarządzenie, że kto chce wyjechać do Pawłodaru, to może to zrobić. Ja wyraziłam gotowość wyjazdu, bo ja już nie dawałam sobie rady. Myślałam, że jednak w mieście to zawsze będzie lepiej. No i pojechaliśmy. Gdy odjeżdżałam to politruk powiedział, że jeśli ci tam nie wyjdzie, to zawsze możesz na mnie liczyć. Ja mu za to podziękowałam.

Pojechaliśmy do Pawłodaru. A tam ni domu i komu nie ma. Jedna z kobiet, Rosjanka, podpowiedziała mi, że na Pierwomajskoj Płoszczydzi jest pewna kobieta, która bierze na mieszkanie Polaków. Dotarliśmy tam. Gospodyni okazała się być osobą bardzo partyjną, w tym względzie aż zajadłą. Taki sam był i jej mąż. No ale trudno.

Wynajęliśmy u nich jeden pokój. Był to nieolubiony pokój. Miał może jakieś dwanaście metrów kwadratowych. W tym pokoju mieszkała nasza rodzina - pięcioro i rodzina Kondrackich - też pięcioro. Państwo Kondraccy byli z Wilna. Był to taki pan z majątku, bardzo kulturalny człowiek, przystojny, fajny facet. Miał córkę Anię. Z tą jego córką ja często towarzyszyłam. I miał syna Witka. Potem tam była jeszcze jedna jego córka. To oni tam byli razem z nami. Wszyscy my spaliśmy na podłodze. Oni po jednej stronie pokoju na podłodze a my tak na przeciw też na podłodze. I tak czas płynął.

To trwało do czasu, gdy coś się stało naszej gospodyni. Nagle zaczęła nam podwyższać komorna i to znacznie. A my nie mieliśmy czym płacić. Ja pracowałam w ten sposób, że chodziłam jesienią przebierać kartofle. Z tego powodu zachorowałam: dostałam strasznych wrzodów od tego zimna, bo to odbywało się w piwnicy. Pracowałam tam przez jakiś czas. Miałam takie duże rękawice, które mi mama uszyła. Kiedy już miałam iść do domu, to do rękawicy wkładałam jeden lub dwa kartofle. Kradłam, aby je przynieść do domu, bo w domu nie było co jeść.

Czasem udało się nam zdobyć nieco ziarna. Z tego ziarna też robiliśmy jedzenie. Czasem mama je upraży, to taka zupa była bez niczego, to do tej zupy wkładało się choć jedną kartofelkę. Ale my nigdy nie obieraliśmy kartofli. Jedliśmy je w mundurkach. Wcześniej chodziliśmy je myć w rzece, bo tam w pobliżu przepływał Irtysz. Woda tam, wprawdzie bieżąca, nie była jednak dostatecznie czysta, bo tam przychodzili ludzie prać, kąpać się i t.d. Te wszystkie brudy woda spychała właśnie na brzeg. Tak umyte kartofle mama wkładała do zupy.

W 1942-gim roku zmarł mój ojciec. Umarł po prostu z głodu. W ostatniej chwili życia prosił o jedzenie a myśmy nie mieli

mu ciał dać. Sami też nie mieliśmy nic do jedzenia.

Tam był zorganizowany nasz polski Komitet pomocy. Anglia przysyłała nam trochę żywności. Właśnie tam, w tym Komitecie poznaliśmy takiego pana Jacynę, który pracował w magazynach tego komitetu. Pamiętam, że był trochę chory na oczy. Był to bardzo dobry człowiek. Pochodził gdzieś z okolic Pińska, z tych właśnie stron. Tak sam opowiadał. To właśnie on bardzo często przynosił nam taki bulion. Jeszcze do dziś zachowałam na pamięć butelkę po tym bulionie. Ten bulion dawaliśmy ojcu, ażeby on chociaż troszeczkę posilił się. Ale to już nic nie pomogło. Za późno.

Kupowaliśmy tam też szczaw. Przywożono go w beczkach. Był to szczaw, nazywany "szczaw koński", o długich łodygach. Był on zakwaszany i solony. Staliśmy po niego w bardzo długich kolejkach, żeby dostać chociaż jedną miseczkę. Gotowaliśmy go rzucając na gotującą się wodę. Nie było żadnego tłuszczu. Ale w takich warunkach dobre było i to.

Ojciec zmarł w szpitalu. W tym czasie poznałam pewną Rosjankę, która pracowała w "wojenkomacie", w sklepie. Z nią nawiązałam bliższy kontakt. W myśl naszej cichej umowy, jeśli w sklepie pojawił się "komierczeski" chleb, bułki, to ona mnie zawsze powiadamiała. I ja chodziłam tam w kolejkę, żeby dostać chociaż jedną taką bułeczkę czy kawałek chleba. Tam były "komierczeskie" ceny, to bardzo drogo. Ale innego wyjścia nie było.

Ona była tak życzliwa, że pomogła zrobić nam pochówek naszego ojca. Były pewne trudności ze zrobieniem trumny. Trumnę mojemu ojcu zrobił komitet. Była to taka zwyczajna trumna z desek. Ojca pochowaliśmy w takim słabym, zniszczonym ubraniu, bo to było wszystko, co mieliśmy.

Przed pogrzebem szukaliśmy popa. I na pogrzebie mojego ojca

był pop. Na tym cmentarzu, na którym chowaliśmy mojego ojca, spokojnie pasły się krowy. Normalnie chodziły krowy. Nie było żadnego ogrodzenia. Wokół rozciągał się normalny step. To wszystko było zdeptane.

Mój brat w tym czasie pracował jako tokarz. On to właśnie zrobił ojcu na mogile żelazny krzyż i dziurkami wybił imię i nazwisko, datę śmierci i rok urodzenia. To wszystko wybił na tym krzyżu.

Potem poszliśmy z mamą i zalaziliśmy człowieka, który zrobił takie obramowanie na grób. Takie, jakie się robi u nas. To obramowanie zrobił on niby z cementu i ze żwiru. Ale po bardzo krótkim czasie to obramowanie zaczęło się rozpadać, bo tam nie było żadnego wiązania. Bo tam oni nie mieli tego, co potrzeba. No ale w każdym bądź razie stanowiło to już pewne zabezpieczenie, że może już ta krowa tam nie wejdzie.

No i przyszedł pop i to poświęcił. Pomodlił się po swojemu i poświęcił". I stamtąd odeszliśmy z żalem.

Gdy tuż po podrzebie przyszliśmy do domu, nam nasza "chazisjka" wymówiła mieszkanie. Więc już w tej sytuacji byliśmy bezradni. Ale moja mama, jeszcze wcześniej chodziła to takiej jednej ruskiej "babuszki" po mleko. Jej właśnie mama zwierzyła się, że mamy właśnie takie kłopoty z mieszkaniem. A on mieszkała tylko ze swoim "dzieduszką". Wieli jednego syna, który był na pierwszej linii frontu. Bo imi pochodzili z Ukrainy i byli kulakami. Ich też tam właśnie wywieziono i ich też tam bardzo maltretowano. Tam dla nich tak samo nie było miejsca tak samo jak i Polakom. I ona nas przyjęła. Natychmiast kazała zaraz przychodzić i mieszkać. A to mieszkanie było jej syna. Tylko że on poszedł na front a jego żona się wyprowadziła. Pracowała na poczcie. By-

ła telegrafistką i miała dwoje dzieci. I to mieszkanie oni oddali /wynajęli/.

I w tym mieszkaniu zamieszkaliśmy. Było nam tam bardzo dobrze. W tym mniej więcej czasie ja dostałam się do pracy na "Zagodziernie". Był to elewator, w którym składowano ziarno. Były tam specjalne magazyny zbożowe. Zadaniem naszego elewatora było "nagrużanie" /załadunek/ wojennych transportów. Pracowaliśmy i nocą i dnem. Tam nie było dla nas odpoczynku. To już dobrze musiało być, kiedy idę z roboty i śpię. Kiedyś idąc zasnąłam tak mocno, że aż uderzyłam w słup. Człowiek nie był wypoczęty. Ale dobrą stroną tej pracy było to, że można było najeść się ziarna. A i ukraść też można było, jak najbardziej, bo oni wszyscy kradli. Ja sama kradłam zboże, mąkę, ryż, proso. Wszystko to, co było pod ręką.

A była zawiedujuszcząca tym składem, taka Izdakowa. Pochodziła z Irkucka. I ona mnie dowierzyła cały skład. Jak jej nie ma, to ona mnie dowierzyła to /zawierzyła, dała klucze/. Ja go zamykałam. Byłam jakby pod tym względem jej następczynią, kierownikiem brygady. Ona mnie darzyła całkowitym zaufaniem. W tej sytuacji myśmy tak postępowaliśmy, jak uważaliśmy, jak nam było najkorzystniej. Tylko w razie czego, żeby jeden drugiego krył.

Kiedyś było tak, że ja pracowałam. W domu nie było już nic do jedzenia. A w tym właśnie czasie do elewatora naszego sprowadzono pszenicę, którą nazywano "kubanka". Miała ona bardzo duże ziarno. Dostarczono ją tylko na rozprowadzenie i dlatego oni przywieźli jej nie tak dużo ton. Pomyślałam sobie: wezmę ja chociaż tej "kubanki" trochę. Zaniosę do domu. Tam to ziarno trochę czymś podusiemy i zrobi się chociaż trochę jakiejś zacierki czy innej mamiłgi.

I nabrałam trochę tej pszenicy i niosę. A tu nagle mnie ochran-

niczka zatrzymała i kieruje do rewizji. I stało się: znalazła u mnie to. Jak ona u mnie to znalazła, to ja - a byłam trochę sprytna - poszłam "na całego". Bo za takie coś groziła kara-ganda. A z tamtych kamieniołomów już nie wyjdiesz. Więc pomyślałam sobie: poczekaj, ja ci też coś zrobię. Więc ja mówię: znajesz co, Maruśka, a ja u ciebie widieła cały mieszok muki. /wiesz Maruśka, a ja widziałam u ciebie cały worek maki/. I siejczas pajdiom i rewizju sdielajem. /teraz pójdziemy i zrobimy rewizję/. Ja była i widieła. I czto ty na to? I pajdiom. Siejczas przyjdioł ochrannik, pajdiom u ciebia diełać rewizju. W tym momencie ona wyraźnie zmieszała się. A ja wiedziałam, że ona kradła i miała schowany worek.

Ona zmieszała się. Przyszedł "frontowik". Był bez nogi. On był całym "zawiedujuszczym" tej ochrony. On przyszedł, spojrzał na mnie i powiedział do niej "wora imiejesz?" /złapałaś złodzieja?/. A ona ociągając się odpowiedziała, że nie. Ale on zorientował się w sytuacji. Powiedział do niej: Znajesz Maruśka, czto by bolsze mnie tego nie było. /Maruśka, żeby mnie więcej tego nie było. /Posmatri, bo tiebie snimajem s raboty.

A ja tam miałam może do trzech kilogramów tej pszenicy. Schowałam to w takim miejscu, że nie będę mówić.

Ochrannik w ~~prawnym~~ momencie powiedział: idzi damoj. Wyszłam wolna. Ja tak szłam przez ten step, to ja nie wiedziałam, kiedy go przebiegłam, Chyba za minutę byłam w domu. Mnie coś gnało. Tu musze dodać, że gdy wracaliśmy codziennie przez step do domu, to na naszej drodze po stepie jeździł, na koniu, Kozak z milicji. I on na drodze potrafił rewidować. I ja go strasznie się bałam: jeśli on mnie spotka na drodze to on może mnie zrewidować. Wtenczas dopiero będzie.

Wówczas doszło do komicznej sytuacji. Na stepie rosło bardzo

dużo płołunu. Tam wypasały się na tym krowy. Właśnie wtedy, kiedy wracałam, pasła się krowa. Mnie z tego wszystkiego strachu przydało się, że on jedzie na koniu. To ja skoczyłam w bok. W pobliżu był tam taki "mostostroj", nieco dalej. Oni tam coś budowali. To ja myślę sobie, to ja tam pobiegnę. Ja w popłuchu odbiegłam kawałek i patrzę, a to krowa chodzi, po tych płołunach. To ja znów wróciłam na swoją pierwotną drogę. Wyszłam i przyszedłam do domu. Bo nasza chata stała przy koronnej ulicy, pod trzydziestym siódmym numerem, na samym skrajku. Tu kończyły się zabudowania a dalej zaczynał się step. Pod nasz dom podchodziły wilki. Był to koniec osiedla.

Wróciłam do domu w najwyższym stopniu zdenerwowana i powiedziałam mamie, że taka i taka sprawa była dzisiaj. Mama na to powiedziała, ty nic więcej nie bierz, bo może coś być.

Ale to nie było wszystko dla mnie z tą kradzieżą. Jeszcze raz wpadłam.

Powieźli nas do zatonu /zaton - elewator mąki/. Mieliśmy tam nosić mąkę. Tam, w tym zatonie przerabiali zboże na mąkę. Tam nas samochodem powieźli do pracy. A tam wszystko kusi. Tam były takie woreczki angielskie. Były one nieduże, przychodziły one z mąką. Z tych woreczków my później nawet szyłyśmy sukienki. Brało się takie trzy - cztery woreczki, wrzuci się do rękawicy. Później je się farbowało i szyło sukienki. A z czego myśmy mogły mieć ubrania? Tam nic takiego nie było i my nic też do ubrania nie mieliśmy.

Właśnie podczas naszego tam pobytu wzięłam tam do woreczka mąki. Było tego może z dziesięć kilogramów. Nasypałam. Wszyscy, cała nasza brygada nasypała tak jak ja. Każdy usiadł na swoim woreczku i siedział. Już mieliśmy odjeżdżać do domu po pracy.

Już nas mieli odwozić. Ale tu nagle stop. Samochód obstawili żołnierze ze "sztikami". Kontrola. Snimajties. Dawajties, wsie. I co tu robić? A psy dookoła. O Jezuu, my wszyscy w strachu. A ja pomyślałam sobie: a czort z wami. Ale widzę, że każdy w strachu, boi się. A ja byłam taką dziewczyną, która czepiała się i po płotach i wszędzie. Ja z tej burty wysokiej zeszłam na koło a z tego wysokiego koła zeskoczyłam na ziemię i niepostrzeżenie dróżką przemknęłam się na Irtysz. A ja pływać nie umiałam. I nadal nie umiem.

Szłam brzegiem rzeki Irtysz. A tam, nad rzeką była taka biała dolina. Nogi same laciały do tej wody. Tam nad rzeką nie było żadnego brzegu tylko wysokie skarpy. I ja przekradałam się nad tym urwiskiem, trzymając się rękoma krzewów. Staralam się dostać się w ten sposób brzegiem do miejsca, gdzie zaczynały się zabudowania. Tam już mogłam się spodziewać takich wydeptanych ścieżek, którymi miejscowi chodzili po wodę. Bo tam mało kto miał studnię. I ja przeszłam, wydostałam się na otwartą przestrzeń, w pewnej odległości od samochodu.

A ich wszystkich, całą brygadę - dwanaście dziewcząt - zabrali na milicję, po prostu aresztowali.

Przedtem jednak, gdy jeszcze rzecz działała się na samochodzie, pytali - wskazując na mój worek - do kogo on należy. Moje koleżanki początkowo nic nie mówiły. Ale kiedy je zabrano do aresztu, powiedziały, że to mój worek.

Ale ja już uciekłam. Przyszłam do domu i natychmiast, gdzie było chociaż trochę ziarna, gdzie było chociaż trochę maki, mówię: mamu, trzeba to jak najprędzej wynosić. Moja mama natychmiast ubrała się i wraz z siostrą powynosiły do takiej znajomej, Polki z Grajewa. Ta Polka akurat była chora. I tam to u niej

wszystko ukryły.

Nasza gospodyni była bardzo dobra. I ja do niej powiedziałam: babuszka, wyszła taka i taka sprawa. Ona powiedziała: biericie to i wynosicie. Bo będzie źle.

Ale u mnie nie było żadnej kontroli. Ich wszystkich, całą naszą brygadę, przetrzymali przez całą noc. One powiedziały, że to jest mój worek i że w nim jest moja mąka.

Rano poszłam do pracy, do siebie, to znaczy na zagodzierno. To znaczy na elewator. Tam, już z samego rana, wzywa mnie dyrektor, a właściwie to dyrektorka, bo naczelnym dyrektorem była kobieta. Natomiast "tichnoruk" - zastępca dyrektora do spraw technicznych - był człowiekiem bardzo dobrym. Poszłam do biura. Na pozdrowienie "zdrawstwujcie" odpowiedziałam "zdrawstwujcie". "Sadities". Usiadłam. Zauważyłam, że w gabinecie siedzi ten Kozak z policji, który pilnował na stepie. Bałam się, ale postanowiłam wziąć tę sprawę na odwagę. Chociaż bałam się bardzo. Myślałam, co to będzie.

Na początku zapytano mnie: eto wasz mieszok?

- Niet.

- kak nie wasz, kak wasz.

- a kak nie moj, to czto budiet?

Wówczas do rozmowy wtrąciła się sama dyrektorka. Pamiętam, że była ryża i bardzo wredna.

- skaży, czto to twajo

- a wy skażytie, czto to wasz

I taka była ta nasza rozmowa. A policjant teraz na to tylko patrzył. Przyglądał mi się badawczo. A mieszkał niedaleko nas.

Wreszcie zwróciłam się do samej dyrektorki: słusza jtie, towariszcz dyrektor - a wy nie worujecie muk? /towaryszsko dyrek-

tor, a czy pani nie kradnie mąki/.

- a ty mnie widziała?

- widziała. A dlaczego miałabym nie widzieć, jeśli ja tu już dość długo pracuję. Ja widzę wszystko, jak wy wywozicie. Zamiast ziarna bierze pani mąkę

- kogda ja eto wzięła?

- a to pójdziemy i zobaczymy.

A ona trochę, ale wyraźnie zmieszała się. A ja nadal:

- A od kuda wy lepioszki kuszajecie? Kto wam daje muku na etyje lepioszki? A wy imiejecie iz saboj lepioszki wsiegda.

Ona popatrzyła na mnie dłużej i powiedziała:

- sumaszedszaja /wariatka/

- nawierno /na pewno/

Wreszcie powiedziałam: idę do roboty, bo wiejak stoi. Wiejak to takie urządzenie, przez które przepuszcza się ziarno w celu jego oczyszczenia. Przy tej pracy strasznie się kurzy i ja taka właśnie zakurzona byłam u dyrektorki w gabinecie.

- idytie do roboty.

Poszłam do roboty i zaczęłam pracować. Ale przez cały czas byłam poddenerwowana, bo z tym żartów nie było. Myślę sobie, Pójdą nawet do domu ale w domu nic nie ma.

Rano przyszłam do domu, nie mogłam się wyspać tak dobrze jak zwykle, nie dałam rady sprawnie myśleć. A wszystko to przez te nerwy.

Kiedy nazajutrz przyszłam do roboty dowiedziałam się, że mnie znów wołają do tego biura. Tam biorą mój worek, pokazują mi go i mówią, że to mój worek, że wszyscy stwierdzili, że to mój worek. A ja na to: ten kto twierdzi, że to mój worek, ten na pewno miał ze sobą dwa worki ze sobą. A nie jeden. Jeśli ona twierdzi,

że to mój, a ja worka nie miałam.

A na to dyrektorka: a dlaczego ja uciekłam? A ja na to: wcale nie uciekałam. Ja poszłam za swoją potrzebą. Poszłam za swoją potrzebą ze strachu. I wcale nie uciekałam. Gdzie ja miałam to załatwić? Na placu, gdzie tyle ludzi? Musiałam gdzieś się skryć.

I to było całe gadanie. I oni uspokoiли się i odeszli. Odeszli ode mnie. Przyszły te dziewczęta pracować i mówią tak: że jeśli je posadzą, to i ja będę musiała iść razem z nimi. No bo z jakiej racji one mają siedzieć a ja nie? Ja mówię: dobrze. Jak udowodnicie mnie. Ja przecież nic nie brałam.

A przecież w rzeczywistości było zupełnie inaczej: myśmy wszyscy razem brali. No ale co ja będę sypać się. Jak są tacy, że wydają. Nie wolno tego.

Przeszło to, wszystko to minęło. My nadal pracujemy ale widzę, że na nas oko mają. Oko mają, i kontrolują nas i pilnują. Nawet taką kozacką brygadę postawili żeby nas mniej więcej obserwowano: co my będziemy robić dalej. Ale jednego razu nam powiedziano, żebyśmy wieczorem przyszli nagrużać wojenny marszrut. Bo to nagrużali pełne wagony zbożem i wysyłali. To my nosiliśmy na sobie worki o wadze po siedemdziesiąt kilogramów. Ja wówczas czułam się tak, jak mężczyzna: zarzucisz i idziesz po tych trapach. Bo to trzeba było wnieść do wagonów a to wysoko. To chodziło się po trapach.

Myśmy bez przerwy pracowali. Ale już późnym wieczorem przyjechał kierowca i wkrótce miał odjeżdżać do tego zatonu. A my mówimy tak do niego: Zuchanow, myśmy zrobili już porozumienie, na kontroli stała dobra ochranniczka. I ja poszłam do niej i mówię, że my chcemy wywieźć trochę ziarna. A on na to: wywoźcie, tylko żebym ja nie widziała. Ale potem ona jednak przyklepiła

się do nas i mówi: Jak wy mnie worek wywieziecie, to wieźcie. To ja was przepuszczam. No to i my dla niej. Ale to nie było zboże tylko mąka. Bo tym razem przywieziono nie zboże lecz mąkę. Była to dobra mąka, tzw. "siejenka". To nam do niej aż o- czy grały. I każda z nas wzięła po worku. A w tym każdym worku siedemdziesiąt kilogramów. A nas było cztery a ochranniczka pię- ta. I my te worki zarzuciłyśmy na tę maszynę, i ten kierowca, i jedziemy. Siedzimy na workach. Jedziemy przez step. Mieliśmy to wszystko zrzucić u mnie, bo było najbliżej.

A na przeciw mojego domu mieszkał milicjant, Kozak. I my je- dziemy. A tam, za naszym zagodziernom było lotnisko. I byli lot- cziki. Tylko myśmy wyjechali, a tu lotnicy nas zatrzymali, żeby ich podwieźć.

Wsiedli oni do samochodu i widzą, że na skrzyni leżą worki. Widzą, że my jesteśmy niesamowicie wystraszone. Oni połapali się natychmiast, o co tu naprawdę chodzi. Sami nam zaproponowa- li, że nam pomogą. Samochód zatrzymał się nie przed moim domem lecz w innym miejscu a lotnicy bardzo szybko i sprawnie pono- sili worki w ukrycie.

Rano znów poszliśmy do pracy. Nic się nie wydało. Wszystko poszło gładko.

Po jakimś czasie zaczęliśmy przystępować do opcji, bo już można było wyjeżdżać do Polski. Ja jak najbardziej, jak naj- prędzej chciałam wyjeżdżać. Poszłam po te wszelkie papiery, zaś- wiadczenia. Gdy oni zaczęli naliczać mnie, i nie tylko mnie ale wszystkim to, co my pracowaliśmy przez cały rok, to wyszło że jeszcze musiałam dopłacić sto sześćdziesiąt rubli. Do swojej wypłaty, którą brałam. No ale my to wszystko uregulowaliśmy pra- cą. Pracowaliśmy bezpłatnie, bo nie mieliśmy z czego płacić. Pracowaliśmy więc bezpłatnie od czasu przystąpienia do opcji.

A do opcji przystępowaliśmy tylko w nocy. Prokurator, Kozak, czarny taki Mongoł. To my nocą. O dwunastej godzinie, bo tam nic żaden urząd nie załatwiał w dzień tylko nocą. Tam trzeba było nocą załatwiać, bo w dzień to oni tylko pilnowali złodziej złodzieja.

Kiedy wyjeżdżaliśmy, podstawiono statki. Początkowo to nam próbowano wmówić, że my jesteśmy to Białorusy, to Ukraińcy. A ja zawsze głośno twierdziłam, że ja jestem rdzenna Warszawianka. Bo tam nie było naszych dokumentów. Chociaż to może oni tam i mieli. A urzędnik mówił: a czort by was wziął, wsie z Warszawy. Kto będzie mówił inaczej, skoro nasz Białystok był w ich rękach. No jakże, oni przecież mogą nie puścić.

Bo były wypadki, że niektórzy to zostali. Chcieli być dobry to potem mieli kłopoty zanim doszło do wyjazdu.

No my na pierwszy transport też trafiliśmy. Podstawili taki okręcik, taki parostatek, którym myśmy dojechali do miejscowości, z której odchodziły pociągi. Tu nas przeładowano. Wyjeżdżaliśmy z Pawłodaru.

Wyjeżdżaliśmy wszyscy stamtąd ze śpiewem. I z radością. Przyjechaliśmy tutaj szesnastego czy siedemnastego marca 1946-go roku. Najpierw skierowano nas do Kutna, bo tam był punkt repatriacyjny. Tam na stacji witano nas bardzo serdecznie: wiadrami gorącej zupy, z chlebem. Nawet i wędlina była. Zapraszali, żeby wszyscy jedli. Ale nikt nie dał rady. Tylko nieliczni brali coś do jedzenia, z radości.

Ze mną jechała pani Sobieska. Pochodziła z Białegostoku. Kiedy przyjechaliśmy do Białegostoku na rampę i ona zobaczyła swojego brata, bo on na kolei pracował, dostała nagle ataku serca i na miejscu umarła. Zostawiła po sobie malutkie dziecko.

A co my przeżyliśmy, to już nie ma o czym mówić. Ale to już wszystko poszło w zapomnienie.

W Kutnie najpierw nas przyjęto na punkcie repatriacyjnym. Tam nam zaraz dano odzież. Matychmiasz siostry zakonne zorganizowały pożywienie. Pamiętam jak dziś, Było kakao z mlekiem, takie angielskie i chleb ze smalcem. Chleb był pokrojony i posmarowany. Ale ten chleb był taki wspaniały, smaczny, pachnący. To tak ludzie jedli. Ale jedli i płakali.

Ja dostałam tam dla siebie ładne ubranie, bo sama sobie wybrałam. Dostaliśmy taką podwójną, angielską kołdrę. Mam ją jeszcze teraz w domu. Jest już bardzo zniszczona, porwana. Dostaliśmy też obuwie. Tak że nam pomoc dali. Z ubrania. Pieniędzy nie, nie dostawaliśmy.

Stamtąd wróciliśmy do Białegostoku. A bratowa moja tam została. W Kutnie. Razem ze swoją siostrą. Bratowa pracowała jako nauczycielka a jej siostra podjęła pracę w RKU-Rejonowej Komendzie Uzupełnień /instytucja wojskowa/. Z RKU oni dostali mieszkanie. Było to mieszkanie wojskowe i umeblowanie też wojskowe. I tam są do dziś. Już bratowa moja umarła. Jej siostra jeszcze żyje. Już jest staruszką.

A my wróciliśmy do Białegostoku. Mieszkaliśmy przy ulicy Żelaznej. Wróciliśmy do dwójki chatki, biednej.

Zapomniałam powiedzieć, że mój brat, który był z nami wywieziony, poszedł w Rosję do wojska. Było to wojsko organizowane przez Sękorskiego. Ale ponieważ on był jeszcze małoletni, pojechał ze starszymi chłopcami. I tam jego odrzucono. To on chodził tam po śmietnikach i jadł odpady. Nie miał z czego żyć. Był sam jeden. Zwracał się do różnych instytucji i wszędzie jego odrzucano. Bo był małoletni. Aż zdobył się na taki gest. Wyjeżdżała jakaś

irańska rodzina. W tej rodzinie było pięcioro czy sześcioro dzieci. On zobaczył, że oni noszą tobołki. On chwycił jeden tobołek i wszedł do wagonu. Jego przepuszczono. Kiedy wchodził później ktoś ostatni / a przez cały czas liczono wchodzących / zorientowano się, że jest o jedną osobę za dużo. A on siedział pod ławkami schowany. Iranka twierdziła, że to nie jest prawda, bo ona ma wszystkie dzieci przy sobie. I takim to jakimś chyba cudem on dostał się do Anglii. A kiedy już tam się dostał, poszedł do księży, którzy go wzięli w opiekę. Dali mu jeść i go ubrali. I tam został.

Kontakt z moim drugim bratem urwał się po wzięciu go do niewoli przez Rosjan. Chodzi o tego mojego brata, który przed wojną był adwokatem. Nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu. Dopiero będąc na Syberii spotkaliśmy pewną kobietę, która była kucharką w obozie w Kozielsku. Rano słyszała liczne strzały. W nocy też. Wyprowadzano ich całymi plutonami i nocą oraz nad ranem ich zabijali. Taka dotarła do nas wiadomość na Syberię. I nic więcej nie wiedzieliśmy.

Dopiero gdy tu przyjechaliśmy, dowiedzieliśmy się, jak to było. Syn brata, który zginął, jest w Białymstoku, zajmuje się tą sprawą bliżej. Mnie też wzywano do Rodziny Katyńskiej. Byłam tam dwa razy i powiedziałam, że ja tu należę, do Sybiraków. Tam natomiast jest syn, który tą sprawą zajmie się bliżej.

Ale ostatnio wzywano mnie do Komisji badania zbrodni. Tam, na ulicy Bema złożyłam wszystkie zeznania. Pytałam tego pana, do czego to jest potrzebne. Odpowiedziano mi, że te akta posyłane są do Warszawy. Może coś kiedyś z tego będzie. Może kiedyś będzie za to jakieś odszkodowanie. A ja na to: pewnie wtedy, jak my poumieramy. Bo wcześniej, to chyba nic z tego nie będzie. I nasz ten wątek

I tak sobie nadal żyjemy.

Sprawy religijne - praktyki religijne tam nie istniały. Pamiętam - było to chyba na którąś Wielkanoc - ogłoszono, że można "wien-
czatsa" tj. brać śluby. Tam było NKWD. Jego siedziba znajdowała się nad samą wodą, nad Irtyszem. W dole budynku tego były piwnice. W tych piwnicach, w tej wodzie siedzieli aresztowani. Bo oni inaczej nie trzymali.

Obok siedziby NKWD stał niewielki, drewniany domek, który miał być przekształcony na cerkiew. Moja gospodyni kiedyś powiedziała do mnie: choć marusia, pajdiom pasmotret "Zgodziłam się. Było to na Woskresienije /Wielkanoc/. I poszliśmy tam. Było trochę ludzi. W tym czasie dawano jakiś ślub, bo widziałam tam popa i sołoszczyk/organista/ też tam chodził. Pobyliśmy tam przez jakiś czas i wróciliśmy do domu, bo tam nic już takiego ciekawego nie było. I za jakiś czas to wszystko się skończyło. Zostało to przez władze rozwiązane.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej nastroje prostych ludzi nie zmieniły się. Ludzie na Syberii żyli w takim stanie, że ich nic prawie nie obchodziło. Oni najwyżej mogli sobie w duchu myśleć niezależnie. Po jakimś czasie i na jakiś czas pokazali się popi. Bo ja pracowałam w takiej baszmaczni. Było to niedaleko. Tylko piętnaście kilometrów. Pracowałam tam z popem. Był to taki młody chłopiec. To też ich tak męczyli. Bo on jak tam mieszkał, z matką, to często miewał rewizje. Szukano, czy nie ma książek religijnych. Tak go nachodzili - jak mówił - że po prostu żyć nie dali. Oni mieszkali w tej wsi. On mnie nawet zaprosił do siebie. Zaprowadził mnie do swojej matki. Jego matka tak mnie wówczas ugościła tak bardzo. Przyniosła tej "rażanki", takiego mleka gęstego i takie bliny upiekła i mnie poczęstowała. A że ja głodna była więc z przyjemnością zjadłam i podziękowałam.

I my nadal pracowaliśmy razem w naszym zagodziernie. Nasza praca polegała na przerzucaniu ziarna przez takie okna. Nazywało się to łopacenie. Bo ziarno przerzucaliśmy łopatami. On był bardzo grzeczny i często mnie wyręczał. Mówił: ty sobie posiedź. Ale jak widziałam, że idzie dyrektor, to ja wstawiałam prędzej do roboty. Bo widać, że on robi a ja siedzę. Chodziło, żeby on nie zwrócił uwagi. Oni bez przerwy mieli doczynienia ze sprawami religijnymi. U nich bez przerwy wisiały obrazy i ikony. Obrazy wisiały nad łóżkiem. Do nich oni modlili się. Ale ona mówiła, że strasznie ich nachodzili. Rewizja była dzień dnia. I takie to było tam życie. A tak to tam się nic, dosłownie nic w życiu nie zmieniło, nic się nie ożywiło.

A my Polacy, my zawsze się modliliśmy. I zbieraliśmy się razem. Zebrania te odbywały się w domach. Wieczorami sobie rozmawialiśmy. Wróżyliśmy, żeby te wieczory jesienne nie były takie długie, modliliśmy się, śpiewaliśmy, czytaliśmy książeczki do nabożeństwa, które mieliśmy ze sobą.

Pani Liczewska miała dwoje dzieci. Jeden był zupełnie niemy i głuchy a dziewczynka była taka jak trzeba. Ten głuchy i niemy był bardzo mądry. Ja nauczyłam się tych ruchów, za pomocą których porozumiewają się niemi i my z nim rozmawialiśmy jak trzeba. To on zawsze w rozmowie pokazywał mi, że jak on wróci do Polski, to on ich wszystkich postrzela. A nie wiedział, że Polska też już teraz jest rządzona przez komunistów. A tu odwrotnie było: jego matka umarła na Syberii. Tam ją pochowaliśmy. I te dzieci przyjechały tutaj razem z nami. I ta Halinka i ten chłopak, ten Stasio. No i potem nieszczęśliwa wyszła za mąż bardzo nie-dobrze podobno. Wyszła podobno za jakiegoś policjanta i on ją bardzo bił. A jej brat, ten Stasio często, w zasadzie zawsze sta-

wał w jej obronie. Do nas przychodziła taka pani Skowrońska, która mieszkała niedaleko nich i opowiadała, że Stasio zawsze ~~z~~ stawał w jej obronie.

Wielu rzeczy, po tylu latach już nie pamiętam. Gdyby to chcieć opowiedzieć, to chyba trzeba by cały dzień opowiadać, tak po kolei.

Bywało i tak, że my po trzy dni nic w ustach nie mieliśmy. A tu trzeba było pracować. To płakaliśmy. Tej szypiszki, tej róży mama pójdzie, narwie i nagotuje w garnku, rozparzy i my to jedliśmy, te włosy i wszystko z tej róży. I człowiek choć tym się zasilął. Ja to tylko płakałam i Boga prosiłam: Boże, jak ja tylko przyjadę do Polski, to żeby ze stoła bułka chleba nigdy nie schodziła. I teraz, gdy dzieci nieraz narzekają, to ja zawsze mówię: wam tylko dzieci Syberii trzeba. Wam trzeba było zobaczyć, co tam było. Bo chleb jest pierwszym pożywieniem. Ja nigdy tego nie zapomnę. Ja od tamtego czasu zawsze chwale Pana Boga za to, że mnie teraz nigdy chleba nie brakuje. Teraz mam chleba i do chleba. Nie narzekam.

Stosunek miejscowych Sybiraków do zesłanych tam ludzi, m.in. Polaków był różny. Ja to mieszkałam w takim otoczeniu, że ja nie miałam wrogów. My tam mieszkaliśmy, ja byłam ze wszystkimi taka zaprzyjaźniona. Byłam młoda to my z tymi młodymi się spotykaliśmy. Czasem to chciało się pójść do kina. Pójdiesz do tego kina, a tam kapie. Wyjdiesz cały mokry, bo tam się leje. Ale na to nie zwracało się uwagi. Siedzisz i patrzysz ma jakieś filmy jak np. "Swiniarka". I wracasz do domu. Ale tak, to nie chodziłszy nigdzie. Bo i człowiek był zmęczony. Ale nie powiem, żeby coś specjalnie było wrogie. U tych "dziedów", u których myśmy mieszkali, to jak myśmy wyjeżdżali, to ten dzied płakał rzewnymi łzami. On tak bardzo chciał, żebym ja tam została, że oni mnie ten domek zapi-

sza. A ja odpowiadałam, że nie chcę tego domu.

Wśród tamtejszej młodzieży zdarzały się jednostki wyjątkowo chamskie, bez żadnego obycia. Wyjdą na ulicę wieczorem, harmoni gra przed oknami. A on weźmie różgę i ćwika ją. I oni tak sobie "pasajut".

Początkowo to nas bardzo zrażało. Myśmy tam nie chodzili. Czasem patrzyliśmy przez okno. Nigdy nie chodziliśmy tam. A tam byli tacy chłopcy, ale oni strasznie za tym swoim ustrojem szli. A my zbierzemy się i przeciw. I to nieraz takie starczki były. Ale cóż zrobić.

Klimat nie był tam szczególnie surowy. Mróz, nie powiem, dochodził czasem do czterdziestu stopni. Bo tam była taka zmienna pogoda. W jeden dzień upał, zaraz wiatr, że jak idziesz, to ten piasek z kamieniami aż nogi porani, tak uderza. Takie burianny były. I zaraz może być znów pogoda. Ale deszczu to tam było bardzo mało, żeby to tak desz padał, z piorunami. Ale tam przeważnie było sucho.

No ale zimową porą to były takie zawieje śnieżne, że jak ja szłam z koleżanką, z tą Danką z pracy, to od mieszkania szliśmy dobrą drogą, ale od naszego domu - bo ona też tam niedaleko mieszkała - to zboczyliśmy chyba na jakieś piętnaście kilometrów w bok. Tak nas ta burza śnieżna zapędziła. Nie wiedzieliśmy, gdzie idziemy. Dopiero pod wieczór stwierdziliśmy, że my nie tutaj i że nie ma jak wrócić. I boimy się, bo przecież i wilki.

Jechał saniami taki stary Kozak. Strach było i uśiąść. Pytamy jego, a on ani w lewo ani w prawo - nic nie rozumie naszego języka. I my go prosimy: mówimy Pawłodar. No on wtenczas pokazał nam, żebyśmy usiadły, że on nie jedzie do samego Pawłodaru tylko gdzie indziej ale on nam pokaże drogę. Burza trochę ustała, mniejszy był ten wiatr. I my ledwie żeśmy przyszły do domu. Byliśmy całe zale-

pione tym śniegiem. Oczywiście tam można i zamarznąć. Tam chodziliśmy w "pimach", takich spodniach, fufajach chodziliśmy. I czapy takie miałyśmy. Ale tam pogoda bardzo zmienna jest. Tam w jeden dzień może być trzy pogody.

==== === === === === === === === === ===

/Jan/

W 1940-tym roku zostałem powołany do Armii Czerwonej. Było to w Białymstoku. Grupa liczyła jakieś dwadzieścia cztery osoby. Zawieźli nas do Moskwy. W Moskwie byliśmy jakieś trzy dni. Czekaliśmy na pociąg. Po trzech dniach dopiero zarezerwowano nam wagon i jechaliśmy do wojska do Kutaisi. To trwało jakieś pięć dni.

Właśnie po pięciu dniach zaleźliśmy się tam, w Kutaisi. Zostaliśmy wcieleni do trzydziestego dziewiątego pułku piechoty. No i tam służyłem do wybuchu wojny.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej nas odłączono od tej jednostki i sformowano taki batalion roboczy. Budowaliśmy właśnie te "ukreplenia"/umocnienia/ nad Czarnym Morzem.

Potem, gdy ten teren nad Czarnym Morzem został opanowany przez Niemców, nas przerzucili przez Morze Kaspijskie na Syberię. Na Syberii byliśmy nadal w tym "strojbatalionie" /batalionie budowlanym/ i pracowaliśmy w tzw. zawodzie /fabryce/ wojennym. Tu transportowano drzewo, deski i rozmaite materiały. My byliśmy brygadą remontową na wąskotorówce.

Tam pracowaliśmy nie po osiem godzin ale po dwanaście godzin. A bywało i tak, że czasem trzeba było iść do pracy i nocą, aby sobie coś dorobić. Na chleb czy kawałek wędliny. Chodziło się do

pracy do "Miasokombinatu", popracuje się kilka godzin, to dostaniesz trochę, najesz się i "podciągniesz" trochę ze sobą. To przynosiło się do domu i zawsze trochę lepsze odżywienie było. I tak było aż do 1943-go roku.

W 1943-cim roku zostałem powołany do Wojska Polskiego. Trafiłem do Pierwszej Armii /Dywizji/ Kościuszkowskiej. W 1943-cim roku w Sielcach były zorganizowana armia, w której i ja byłem. Tam przechodziłem ćwiczenia.

W tym samym roku nastąpił wymarsz na front, pod Lenino. Brałem udział w tej bitwie. Tam, po trzech dniach wycofali nas. Zimą spędziliśmy w odwodzie takim, koło Smoleńska. Stacjonowaliśmy we wsiach. Potem, na wiosnę 1944-go roku przerzucono nas na Ukrainę w okolice Zdobunowa. Stamtąd był już marsz na Lublin. Przekroczyliśmy granicę i przez Lublin poszliśmy do Puław.

Tu ofensywa została wstrzymana, bo wybuchło powstanie w Warszawie. Po jakimś czasie, gdy powstanie zostało stłumione, jesienią rozpoczęło się natarcie na Pragę.

Pragę zdobyliśmy. Potem, w następnym roku było wyzwolenie Warszawy, siedemnastego stycznia 1945-go roku. Z Warszawy udaliśmy się na Bydgoszcz, w kierunku Wału Pomorskiego. Z Wału Pomorskiego doszliśmy aż za Szczecin, nad kanał. W kwietniu, nad tym kanałem, nas załadowano na samochody i zawieziono nas do Berlina.

Od 29-go kwietnia do drugiego maja braliśmy udział w szturmie Berlina. Drugiego maja, po zdobyciu Berlina udaliśmy się za miasto-sześćdziesiąt kilometrów-gdzie na rzece Łabie spotkaliśmy się z Amerykanami.

Dziewiątego maja było zakończenie wojny - Dzień Zwycięstwa. Po jakimś czasie naszą jednostkę wycofano z Niemiec do Białej Podlaskiej. Tu stacjonowaliśmy przez jakiś czas. Z Białej Podlas-

kiej przerzucono nas do Skierniewic. Tu w Skierniewicach, w 1946-tym roku zostałem zdemobilizowany do domu.

Na Syberii byłem chyba dlatego, że byłem Polakiem. Tam byli też i Białorusini, Ukraińcy i Polacy, wszyscy, którzy pochodzili z Polski. Kiedy nasza jednostka /z Kutaisi/ wychodziła na front, my wszyscy zostaliśmy wycofani. Mówiło się nieoficjalnie wówczas, że przyszedł rozkaz Stalina, aby wszystkich tych, którzy pochodzą z Polski - wycofać. Widocznie nam nie dowierzano.

Na Syberii nie byłem jako przesiedleńca lecz jako żołnierz "strojbatalionu". Bo jak nas przerzucono znad Czarnego Morza na Syberię, to ja nadal byłem w "strojbatalionie".

W 1946-tym roku wyszedłem z wojska i udałem się do Białegostoku. Tu mieszkali moi bracia. Tu też ożeniłem się. Moja żona pochodziła z ulicy Żelaznej. W Białymstoku mieszkam do dziś.

Podjąłem pracę w zakładach włókienniczych Sierżana. Zaczynałem pracę jako zaopatrzeniowiec - przez dziewiętnaście lat. Przez następnych lat dwanaście pracowałem w magazynie technicznym.

W 1979-tym roku przeszedłem na emeryturę.

Notował: S. Sianko.